„Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski (2)

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do wyjazdu na emigrację do Kanady (1951 r.) i do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto (nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003).

*



Jerzy Korey-Krzeczowski, Toronto 2001 r.

Wspomnienia z czasów emigracji do 2003 r. – Kanada

*

Trudne początki

Latem 1951 roku, przyjechaliśmy do Halifaxu. Bardzo szybko odbyła się odprawa celna, wszystkie nasze rzeczy zostały nadane na pociąg do Montrealu. Dlaczego zdecydowaliśmy osiedlić się w

Montrealu? Między innymi dlatego, że znaliśmy dodatkowo język francuski. Zawsze jest łatwiej, gdy się zna dwa języki.

W Montrealu, na stacji kolejowej czekał na nas kolega, Domokos Gyallay-Pap, który był na placówce w Bukareszcie w ambasadzie węgierskiej, w tym samym czasie, co ja. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy i cały czas byliśmy w kontakcie. Osiedlił się w Montrealu cztery miesiące przed nami. Powitał nas na stacji i zabrał do małego mieszkanka, które nam wcześniej wynajął. Wieczorem poszliśmy na kolację. Tak więc pierwsze nasze doświadczenie kanadyjskie to *barbeque chicken* i lody. Byliśmy mu wdzięczni, że się nami zajął i że znalazł nam mieszkanie.

Po paru dniach zacząłem szukać pracy. Ale w tym okresie nie było łatwo znaleźć pracę, ze względu na ogromny napływ emigrantów. Kanada to sezonowy kraj, o dużym bezrobociu, zwłaszcza jesienią. Zdecydowałem się więc na niezwykłe zajęcie. Niezwykłe w stosunku do tego, co dotychczas robiłem. Poszedłem do dyrektora personalnego firmy Eaton i poprosiłem, żeby mnie przyjął do pracy. Dyrektor był bardzo kulturalnym człowiekiem, długo ze mną rozmawiał i się mną zainteresował. – Tylko, że – mówi – nic pan nie wie na temat sprzedaży, przecież pan nie sprzedawał. Ja całe życie sprzedawałem – odpowiedziałem – sprzedawałem siebie. Poza tym jest dziedzina, w której jestem bardzo dobrze zorientowany i nikt z pańskich ekspertów mi nie dorówna. Jest to znajomość wschodnich

dywanów. – Hmm – zastanowił się dyrektor – wprawdzie mamy dział dywanów, ale mało ich sprzedajemy. – Niech więc mi pan pozwoli dodatkowo sprzedawać linoleum. – Ok – zgodził się dyrektor – to jest ten sam dział. Zatrudnię pana. Pańska pensja będzie wynosić 42 dolary na tydzień. A ja na to – ponieważ mówię kilkoma językami, mogę obsługiwać grupę nowych emigrantów i to różnych narodowości. Myślę więc, że będę dobrze sprzedawał. Wobec tego prosiłbym pana, o 2% od sprzedaży. Dyrektor zgodził się, choć nie wierzył, że to będzie chodliwy towar. A ja tyle sprzedawałem, że sam procent był większy niż moja pensja, ponad 40$ na tydzień. Radziłem więc sobie doskonale. Stan ten trwał do Bożego Narodzenia. W okresie świątecznym dyrekcja zwolniła wszystkich emigrantów, bo już nie było co sprzedawać. Ja też zostałem zwolniony. Musiałem znów szukać pracy.

Poszedłem do biura miejskiego, gdzie kierowali ludzi do prac porządkowych. Mówię im, że się zgłaszam do odśnieżania ulic. A oni na to – panie my tu mamy całą Europę i już pana nie potrzebujemy. Sami Europejczycy odśnieżali miasto. Wobec tego zacząłem wertować gazety i znalazłem ogłoszenie, że firma lotnicza Canadair Ltd. szuka ekonomisty. Szybko się tam zgłosiłem, zdałem wszystkie potrzebne testy i zostałem przyjęty jako szef sekcji z pensją 120$ na tydzień. Miałem też prawo zaangażować 30-tu Europejczyków. Przyjąłem więc do pracy w mojej sekcji wielu Polaków, m.in. z Londynu, którzy skończyli

tam studia, znali język, a wśród nich kilku dawnych oficerów. W Canadair Ltd. pracowałem chyba przez 2 lata i bardzo dobrze zarabiałem, ale mimo to zdecydowałem, że przejdę do *management consulting.*

Po szczeblach managementu

Zgłosiłem się do znanej w Montrealu firmy Leetham Simpson Management Consultans. przeprowadzili ze mną *interview* i zorientowali się, że znam kilka języków. Było to dla nich dużą zaletą, bo chcieli mieć swoje filie na całym świecie, również w Europie, dlatego cenny był pracownik z biegłą znajomością niemieckiego i francuskiego. Wobec tego zaangażowali mnie. Moja początkowa pensja wynosiła 10 tys. dolarów rocznie. Szybko się uczyłem zarządzania, dużo wyjeżdżałem i pracowałem w różnych krajach.

W niedługim czasie wielka amerykańska firma Werner Management Consultans zaproponowała Leetham Simpson, żeby grupa z mojego działu wraz ze mną pojechała do pracy w Brazylii. Mieliśmy pracować na kontrakcie dla bardzo bogatego hrabiego Matarazzo, kontrolującego 102 największe firmy świata, znajdujące się m.in. w południowej Ameryce. Firma Werner podpisała z nim specjalną umowę, która mówiła, że jeśli nie zaoszczędzimy mu 1 mln dolarów rocznie, nie musi nam nic zapłacić za pracę. Oczywiście byliśmy pewni, że zaoszczędzimy

mu więcej. I rzeczywiście, w każdym roku oszczędzaliśmy ok. 2-3 mln dolarów. Ten człowiek nie wiedział jak koło nas chodzić i zatrudnił nas (12 osób) w swoich firmach. Znając się na zarządzaniu, przynosiliśmy mu ogromne zyski. Tak więc dobrze sobie radziłem za granicą.



Od lewej: Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną Ireną, R. T. Hon i John N. Turner, późniejszy premier Kanady, 1966 r., fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Byłem też doradcą w fabryce plastików w Rio de Janeiro. O plastikach nic nie wiedziałem, umiałem natomiast tak zorganizować firmę, żeby przynosiła zysk. Właściciel tej fabryki zaproponował mi, abym wytrenował jego syna. Chciał, by syn w

przyszłości mógł po nim zostać prezydentem. Zacząłem więc go uczyć. Nauka jednak wymagała stałej obecności w Brazylii, wobec tego właściciel zaproponował mi 5 letni kontrakt. Miałbym zarządzać jego firmami i uczyć jednocześnie syna. A jaką mi zaoferował płacę? 100 tys. dolarów rocznie, płatne w Szwajcarii, *tax free*. Powiedziałem żonie o tej propozycji, a żona na to – Nie możemy pojechać na 5 lat do Brazylii, bo nasz syn kończy gimnazjum w Kanadzie, potem pójdzie na Uniwersytet, to nie jest czas, żebyśmy go zostawili samego. Więc z bólem serca – odmówiłem. A ten właściciel na to – Skoro pan mi odmawia, to może znajdzie pan kogoś w Ameryce, kto kupiłby moją firmę. Długo myślałem i znalazłem wielką amerykańską firmę, zainteresowaną w nabywaniu firm zagranicznych. Brazylia wyglądała dla nich atrakcyjnie. Spotkałem się z prezydentem tej firmy i powiedziałem mu o transakcji, że jest taka możliwość, że mógłby ją przejąć stosunkowo łatwo i za niewielkie pieniądze. Po zapoznaniu się ze sprawą prezydent mówi – jutro lecimy do Brazylii. Zabrał mnie swoim samolotem i polecieliśmy. Przejął tę firmę tego samego dnia.

Po jakimś czasie jedna z wielkich firm farmakologicznych z New Jersey, Carter – Wallace Inc. zaproponowała mi stanowisko *management director*. Powiedziałem jednak, że mogę być jedynie konsultantem, a będę mieszkał w Toronto. – Niech pan przylatuje do nas co tydzień samolotem, będzie pan od poniedziałku do piątku u nas, a w sobotę i niedzielę z rodziną – odpowiedzieli mi

na to. Miałem więc taki okres, że przylatywałem samolotem lądującym w centrum miasta i jechałem do firmy. Przynosiłem im zyski, więc mnie rekomendowali. Stałem się znany w tej dziedzinie.

W stronę nauki

W latach 1968-69, w Montrealu miały miejsce różne rozruchy i zamachy, (np. wysadzano w powietrze skrzynki pocztowe). Zamachy organizowali francuscy nacjonaliści, którzy chcieli oderwać Quebec od Kanady. W tym okresie wielu mieszkańców Montrealu decydowało się przenieść do Toronto. Powiedziałem do żony, że przeniosę się tylko wtedy, jeśli znajdę odpowiednie stanowisko. Zacząłem się więc rozglądać za pracą. Trafiłem na ogłoszenie, że Ryerson Politechnic poszukuje osoby na stanowisko Dean of Business. Wypełniłem papiery i wysłałem. Minęło parę miesięcy, zanim dostałem odpowiedź – Szanowny Panie otrzymaliśmy 202 podania. Jest pan w grupie 10 osób, których wytypowaliśmy jako poważnych kandydatów i wobec tego zapraszamy pana na cały dzień, na rozmowy z prezydentem i profesorami. Przyjechałem do Toronto i byłem na uczelni cały dzień, od rana do nocy. Czułem, że wyraźnie wygrywam. Dużym atutem było moje doświadczenie w *management consultants,* gdyż szkoła była bardzo zadłużona i trzeba było ją rozwinąć. Pomyślałem więc w duchu, że jestem dla nich dobrym kandydatem. Nie dali mi jednak od razu odpowiedzi. – Musimy

jeszcze porozmawiać z innymi kandydatami i zawiadomimy pana – powiedzieli.

Wróciłem do Montrealu, a tam za 2-3 dni przyszedł list, że Narody Zjednoczone poszukują doradcy ekonomicznego dla szacha Persji na 5-cio letni kontrakt. *Duty* i *tax free*. Pomyślałem, że koniecznie muszę pojechać na tę rozmowę. Zadzwoniłem i na następny tydzień, w poniedziałek miałem się tam zgłosić. Pojechałem rano samolotem. Rozmawiam z dyrektorem personalnym, on mi opowiada jakie są szanse i możliwości, że się mną poważnie interesuje, że jestem jednym z tych nielicznych, którzy władają kilkoma językami i którzy mają tego rodzaju doświadczenie itd. W tym momencie jest telefon. Ktoś mówi, że muszę natychmiast przerwać rozmowę i odebrać ten telefon. Podejmuję rozmowę, dzwoni prezydent Ryerson i mówi – Wytypowaliśmy pana, jest pan naszym kandydatem, a ponieważ zarabia pan dużo więcej, niż my możemy panu dać jako Dean of Business, to proponujemy panu jednocześnie stanowisko executive vice President. Będzie pan miał dwie posady, dwa biura, dwie sekretarki i odpowiednio dużą pensję. Rozmawiałem z pańską żoną – mówi dalej prezydent Ryerson – ona mi powiedziała, że pan właśnie rozmawia w sprawie pracy, więc poprosiłem ją żeby tę rozmowę przerwać. Mam nadzieję, że nie podpisał pan jeszcze kontraktu. A ja na to – Nie, jeszcze nie, ale jestem blisko. – Niech Pan tego nie robi, dostaje pan fantastyczne warunki.

Wróciłem do domu, zrezygnowałem z kontraktu u szacha Persji. Syn już wtedy skończył studia w Montrealu i studiował na uniwersytecie w Western Ontario. Był usamodzielniony, miał zamiar się ożenić. A ja zdecydowałem się przenieść do Toronto. I nie żałowałem. W Ryerson miałem bardzo ciekawą pracę i bardzo ją lubiłem. Miałem wtedy świetną pamięć. Zapamiętałem imiona wszystkich profesorów z mojego wydziału. Mogłem nazwisk nie pamiętać, ale do każdego z ok. 500 osób mówiłem po imieniu – Hi John, hi Helen itd. Byli zadziwieni, że pamiętam ich imiona.

Canadian School of Management

Szkoła była moim wielkim sukcesem. Początkowo chciałem stworzyć na Ryerson studia na odległość. Nie było to jednak możliwe, gdyż Politechnika nie miała odpowiedniej kadry profesorskiej, która mogłaby uczyć ludzi z wieloletnim doświadczeniem zawodowym. Dlatego założyłem samodzielną szkołę wyższą. W krótkim czasie z 50 studentów, miałem 100-u, 150-u i 200-u. Szybko się rozwijała i dawała wykształcenie tym ludziom, którzy nie mogliby sobie pozwolić na przerwanie pracy. Kursy na odległość były dla nich dużym udogodnieniem. Moi studenci dobrze zarabiali, ale potrzebowali uzyskać stopień zawodowy. Dotyczyło to głównie szpitalnictwa. Przeprowadziłem badania na ten temat i okazało się, że w administracji szpitalnej tylko 5-6% ludzi miało wykształcenie MBA. Zacząłem więc kształcić zawodowych administratorów szpitalnictwa, ludzi,

którzy teraz zarabiają po 300 tys. będąc managerami największych szpitali w Kanadzie. Poza tym w szkole studiowało dużo ludzi z innych działów administracji, którzy potrzebowali podwyższyć swoje kwalifikacje. Mają teraz wysokie stanowiska. Wykształciłem kilku członków parlamentu, kilku wiceministrów. Wydaje mi się, że to było dobre posunięcie, nie było wówczas takiej szkoły. Skoro jestem naśladowany, to jest to największe uznanie.

Po 20 latach istnienia szkoły, Canadian School of Management przejęli Brytyjczycy, z którymi od dawna współpracowałem. Do dziś jestem kanclerzem szkoły, ale ograniczyłem już odpowiedzialność i uczestnictwo w różnych uroczystościach. Poza tym założyłem szkołę, z programem MBA w Pakistanie, potem w Indiach. Z Pakistanem przez ostatnie dwa lata nie utrzymuję kontaktu, żeby ich nie narażać z powodu sytuacji politycznej. Powodem tym są też różnego rodzaju rozgrywki między Indiami i Pakistanem.

Mam w tej chwili 4000 absolwentów w Kanadzie we wszystkich dziedzinach i 2800 w Indiach. Jestem dumny z tego osiągnięcia. Po 28 latach mogę powiedzieć, że jest to pewien wkład, który mogłem dać Kanadzie, krajowi, który przyjął emigranta. To jest ważne.



Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną i papieżem Janem Pawłem II, fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

Multikulturalizm

Należałem do wielu organizacji, trudno mi wszystkie wymienić. Byłem m.in. Przewodniczącym Rady Wielokulturowości przy rządzie Prowincji Ontario. Miałem biuro w biurach parlamentu, trzy osoby do prac biurowych, sekretarkę.

Co miesiąc byliśmy w innym mieście Ontario i spotykaliśmy się ze wszystkimi grupami etnicznymi, żeby wysłuchać ich problemów. Potem składaliśmy propozycje do rządu. W okresie czterech lat złożyliśmy ponad 100 propozycji, z czego 95 zostało zaakceptowane. Jedną z takich propozycji było zatrudnienie tłumaczy w szpitalach, aby pomagać ludziom nie mówiącym po

angielsku. Inna propozycja to przyznawanie grantów dla szkół etnicznych. Wcześniej za szkoły trzeba było samemu płacić. Jednym z naszych pomysłów był też sposób finansowania kultur etnicznych – z części dochodów, jakie przynoszą gry hazardowe. Stany Zjednoczone są monolitem, wszyscy mają być amerykańscy. W Kanadzie przekonaliśmy rząd, że grupy etniczne chcą zachować swoją tożsamość i przekazać dziedzictwo swoim dzieciom, a jednocześnie chcą być obywatelami Kanady. I to się nie wyklucza. Najpierw tę koncepcję zaakceptował rząd Ontario, a potem wszystkie inne rządy.

Teraz

Od czasu, gdy przekazałem Canadian School of Management, mam więcej czasu na pracę. Od czasu do czasu piszę wiersze. Wiersze najczęściej piszę po polsku, aczkolwiek czasem zdarza mi się napisać po angielsku. Poezja, jakoś bliższa jest mi po polsku, gdy np. na studiach ekonomicznych pisałem z reguły po angielsku, czasem po francusku lub niemiecku.

Pracuję nad różnymi zagadnieniami, które mnie interesują, chciałbym napisać jeszcze coś po angielsku. Miałem niezwykle ciekawe życie, myślę, że warto je udokumentować, zapisać i nikt tego tak nie zrobi jak ja sam. Mój syn jest bardzo dumny i pyta się od czasu do czasu – co nowego napisałeś? Chciałby, żebym zostawił po sobie jak najwięcej, żeby on mógł przekazać to

swoim dzieciom.

Z synem zawsze rozmawiam po polsku, to jest taka niepisana umowa, lecz jeśli chce się lepiej wysłowić, to mu pozwalam powiedzieć jakąś myśl po angielsku. On dobrze mówi po polsku, muszę powiedzieć, że jestem z tego zadowolony. Cieszę się, że chodził do sobotniej szkoły i uczył się trochę historii Polski i języka. Jego matka wymagała, żeby w domu mówił po polsku i dzięki temu utrzymywaliśmy ten język. To bardzo uzdolniony chłopak. Kiedy studiował na Uniwersytecie w Anglii, w Manchester, miał do zaliczenia dwuletni program. W lipcu przysłał telegram, że niedługo przyjedzie. Myślałem, że przyjedzie na wakacje, a on zaliczył dwa lata w jeden rok. Teraz jest wiceprezydentem firmy farmakologicznej, w której kieruje międzynarodowymi badaniami naukowymi, dotyczącymi leczenia raka. Mieszka w Palo Alto, w Kalifornii. Jestem bardzo z niego dumny i szczęśliwy, że mam takiego syna.

Co jeszcze chciałbym o sobie powiedzieć?.

Miałem niezwykłe małżeństwo. W tym roku minęło nam 59 lat małżeństwa, a znamy się 65 lat. – To całe życie, całe dorosłe życie. Jakie mam marzenia? Chciałbym, żeby pewnego dnia moja żona odzyskała głos i zaczęła mówić. To takie marzenie, jedno z największych marzeń w tej chwili w moim życiu. Żeby odzyskała głos i podzieliła się tym, co przeżywa. *(Żona Irena przebywała*

wówczas w ośrodku dla przewlekle chorych, po udarze mózgu była sparaliżowana i nie było z nią kontaktu, przyp. J.S-G.).

*

Część 1:

> „Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski (1)

Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007), ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta.

Urodzony w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej, podpułkownik rezerwy WP. Studia prawnicze na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51).

W latach 1951-71 doradca ekonomiczny i przemysłowy 13 rządów i 200 wielkich korporacji – wiceprezydent Leetham Simpson Management Consultans w Montrealu i dyrektor Werner Management Consultants Canada Inc. Montreal i Nowy Jork. Prof. (dziekan i wiceprezydent 1971-76, wicerektor 1973, prezydent i rektor 1974-75) Ryerson Politechnic University. Prof., założyciel i prezydent Canadian School of Management i Northland Open University (1976), oraz uniwersytetów w Puno (Indie) i Lahore (Pakistan), prof. Union Graduate School w Cincinnati (1976) i członek rady dyrektorów od 1976 r.

Przewodniczący Rady Wielokulturowości przy Rządzie Prowincji Ontario (1976-80), członek Komitetu

Doradczego ds Konstytucji Kanadyjskiej (1982). prezydent Światowej rady Uniwersytetów bez Ścian (1980) itd.

Wiceprezes i prezes Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Montrealu (1960-67), przewodniczący Rady Głównej Kongresu Polonii Kanadyjskiej w Toronto (1967-69), członek Światowej Rady Polonii i Północnoamerykańskiego Studium Spraw Polonii (1978-81), współorganizator i przewodniczący Światowego Zjazdu Polonii w Toronto (1978).

Człowiek Roku 1981, wybrany przez Ethnic Press Council of Canada.

Członek Rady Najwyższej Zakonu i Wielki Mistrz Orderu Św. Jana Jerozolimskiego z siedzibą na Malcie (odłam Zakonu Kawalerów Maltańskich) itd.

Tomiki poezji:

„Siedemnasta Wiosna" Kielce 1938, „Gołoborze" Kielce 1938, rytm serca 1939, „Liryki nostalgiczne" Nowy Jork 1972, „Lunch w Sodomie" Nowy Jork 1976, "Korey's Stubborn Tbougbts" Toronto 1980, „Tree of Life" Toronto 1982, „Wszędzie i nigdzie" Paryż 1989, „Natrętne myśli" Toronto 1994, „Wiatry życia" Kielce 1995, „Dojrzała pogoda" Kielce 1995. trzynasty tom Kielce 2002.

„Polacy nie gęsi i swój język mają" –

Jerzy Korey-Krzeczowski (1)



Jerzy Korey-Krzeczowski (1921-2007) w swoim domu w Toronto, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Jerzego Korey-Krzeczowskiego poznałam krótko po przyjeździe na emigrację do Toronto, w 2001 r. Pracowałam wówczas w „Gazecie”, największym dzienniku Polonii w Kanadzie. Jerzy Korey przyszedł do mnie do redakcji, mieszczącej się w polskiej dzielnicy, przy ul. Roncesvalles. Wydał mi się ciekawym człowiekiem, który wiele przeżył. Umówiłam się z nim na rozmowę. I tak się zaprzyjaźniliśmy. Gdy w 2003 roku zaczęłam redagować „List oceaniczny” – comiesięczny dodatek kulturalny „Gazety” – spotykaliśmy się regularnie, raz w tygodniu. Jerzy Korey chciał, żebym spisała jego wspomnienia. Opowiadał mi o dzieciństwie, młodości, wojnie, emigracji i wielu ciekawych osobach, które spotkał w życiu. Używał przydomka „Korey” – jak mi powiedział – była to zbitka słów Korczak i Rey. Korczak – bo takim herbem pieczętowała się rodzina Krzeczowskich, a Rey, od kultu Mikołaja Reya – poprzedniego patrona Gimnazjum w Kielcach, które kończył Jerzy Krzeczowski. Mottem stało się dla Jerzego Korey-Krzeczowskiego stwierdzenie poety, że „Polacy nie gęsi i swój język mają”.

Wspomnienia Jerzego Korey-Krzeczowskiego, w dwóch częściach – do 1951 roku, czyli do wyjazdu na emigrację do Kanady i od 1951 roku, do 2003 r., są wynikiem wielu godzin spędzonych na rozmowach, spisanych, autoryzowanych i pierwotnie opublikowanych w „Liście oceanicznym” w Toronto *(nr 10, październik 2003 i nr 11, listopad 2003).*

*

Wspomnienia do 1951 roku – Polska, Rumunia, Niemcy

*

Życie jest ciekawe. Moje było bardzo ciekawe. Zawsze uważałem, że przez życie należy iść przebojem. Cała moja filozofia życiowa opierała się na tym, że muszę iść naprzód, i naprzód, i pokonać wszystkie przeszkody. Jeżeli nie mogę normalnie przejść przez bramę, to muszę przejść naokoło. Ale przejdę. I to było moje życiowe credo.

Rodzina, rodzice, dzieciństwo



Ojciec Antoni Marian Krzeczowski



Matka Zofia Emilia Wanda z Chmielewskich

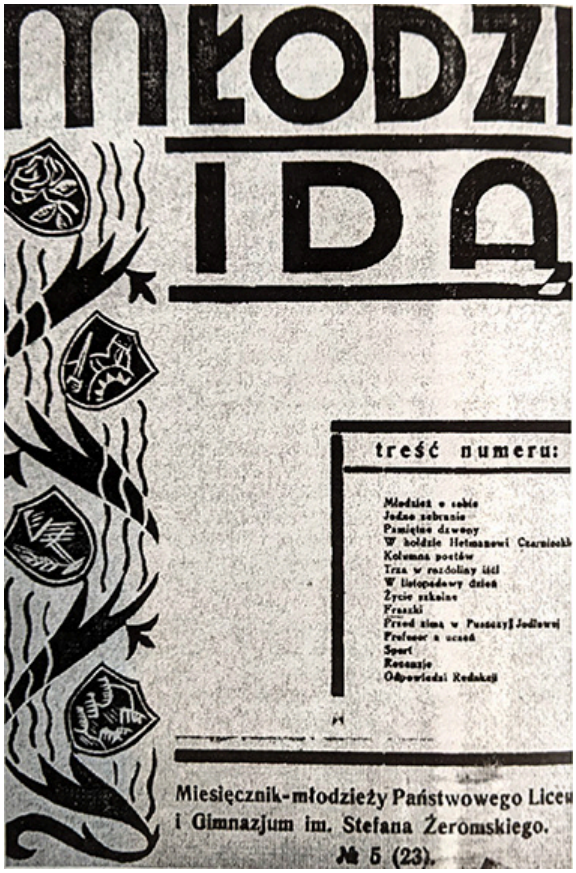
Urodziłem się 13 lipca 1921 roku jako syn Antoniego Mariana i Zofii Emilii Wandy z Chmielewskich. Moi rodzice mieszkali w Kielcach, ojciec był sekretarzem prokuratury Urzędu Wojewódzkiego. Rodzice poznali się przed wojną, a zaręczyli się w 1914 roku przed samym wyjazdem ojca, który został zmobilizowany, a cały sąd ewakuowany. Ponieważ ojciec skończył Gimnazjum z rosyjskim językiem wykładowym i wspaniale mówił po rosyjsku to go od razu zatrudniono i wkrótce wywieziono do Kijowa. Przebywał tam w randze kapitana rosyjskiej armii i zajmował się aprowizacją. Potem wybuchła rewolucja, ojciec szybko zrzucił rosyjski mundur, poszedł do polskiego komitetu obywatelskiego w Kijowie i został ewakuowany do Polski. Zanim jednak wrócił, trwało to parę ładnych miesięcy. Po powrocie ojca z Kijowa, rodzice zdecydowali, że się pobiorą. Ślub odbył się w Kielcach, 3 lipca 1920 roku. W następnym roku ja przyszedłem na świat. Wychowywała mnie mama, która zajmowała się domem, gdy

ojciec pracował. Nie mieliśmy już żadnych majątków, byliśmy biedni jak mysz kościelna. Majątki były skonfiskowane po powstaniu styczniowym. Ojciec był sędzią i żył z pensji sędziowskiej. Z dawnych czasów nic nie zostało, wszystko co było, to w dawnych wiekach.

Rodzice byli bardzo tradycyjni, mieliśmy więc bliski kontakt z innymi członkami rodziny. Siostra mojej matki, Maria Szulcowa, została moją mamą chrzestną. Jej mąż był inżynierem geometrą i przeprowadzał pomiary wszystkich majątków w województwie kieleckim. Wspominam o tym, bo potem, gdy musiałem uciekać z Kielc, jego kontakty okazały się niezwykle przydatne, gdyż wszystkich znał i wiedział, gdzie mnie może ulokować.

Pamiętam, gdy miałem ok. 3 lat, moja ciotka, Maria Szulcowa, zabrała mnie na przejażdżkę wielkim, wspaniałym wozem. Wujostwo byli dość zamożni, więc mieli szofera. Byłem bardzo podekscytowany przejażdżką. Przez siedem lat wychowywałem się jako jedynak, potem przyszła na świat moja siostra, Zosia. Mama ścięła wtedy swoje piękne, bardzo długie włosy.

Szkoła



„Młodzi idą” okładka pisma Gimnazjum w Kielcach.

Skończyłem gimnazjum im Stefana Żeromskiego w Kielcach. Kiedyś szkoła nosiła imię Mikołaja Reja, ale już za moich czasów nazwa została zmieniona. Tradycje Żeromskiego były szkole bliskie i wciąż żywe, gdyż był on kiedyś jej uczniem. Mówiliśmy o nim „starszy kolega”. Nawet na jednej z ławek szkolnych widniało jego nazwisko. Wszystko o nim wiedzieliśmy, czytaliśmy jego książki. Szkoła miała humanistyczny kierunek, a siedmiu z moich kolegów zostało pisarzami. Moim bliskim kolegą był Wiesiek Jażdżyński, który potem wykładał przez pewien czas w szkole dziennikarskiej, a mieszkał w Łodzi. Jedna z jego książek jest o naszej klasie. Korespondowałem z nim od 1990 roku, bo przedtem nie chciałem go narażać na kontakty z taką osobą jak ja. Innymi kolegami, także z mojej klasy, byli Józef Ozga

Michalski, znany polityk, Marian Przeździk, pisarz poeta, Marian Sołtysiak, sławny dowódca drużyny wybranieckiej, działający w podziemiu. Starszym o rok kolegą był pisarz, Gustaw Herling-Grudziński, który wprowadził mnie do redakcji pisma szkolnego „Młodzi idą" i dawał mi pierwsze wskazówki literackie. Przez trzy ostatnie lata pobytu w gimnazjum byłem redaktorem naczelnym tego pisma. Pobyt w szkole był bardzo ciekawy, a od kiedy Wiesław Jażdżyński napisał książkę o naszych szkolnych latach, często wracam do tego okresu oraz wyjątkowych i niezwykłych ludzi.

Wojna

Potem przyszła wojna. Cóż więc mówić o wojnie?

Już na początku zacząłem działać w Organizacji Bojowej, Tajnej Armii Polskiej. Zajmowaliśmy się dywersją. Robiliśmy zamieszanie wśród Niemców, a mieliśmy do nich dobre dojście, bo nasz profesor germanista był tłumaczem u niemieckich władz i przekazywał nam różne informacje. Dzięki temu mogliśmy szczegółowo opracować zamachy. Wysadziliśmy kilka mostów oraz wiele pociągów, głównie transporty wojskowe, które szły na front i wytłukliśmy sporo Niemców. Wkrótce zostałem mianowany podporucznikiem, a za rok porucznikiem. Wojnę zakończyłem w randze kapitana. Pamiętam, że w 1941 roku byliśmy z żoną na Sitkówce, jakieś parę km od Kielc. Jest to

ładnie położona miejscowość letniskowa, a my mieliśmy tam działkę. Byliśmy z moimi rodzicami na skraju lasu, gdy zobaczyliśmy przelatujące, niemieckie samoloty. Zorientowaliśmy się, że szykuje się wojna z Rosją. To było 21 czerwca, jeśli się nie mylę.



Jerzy Krzeczowski w Kotlicach, 1944 r.

Niedaleko, w dominium Kotlice, gdzie mieszkałem po ucieczce z Kielc, były rozległe tereny trawy nasiennej. Tereny te zamieniliśmy na lotnisko. Nazywały się Tarnina 1 i Tarnina 2. Lądowały tam samoloty z Anglii, przywożące do Polski różnych ludzi. Spali oni potem w moim pokoju, a na drugi dzień jechali do Warszawy. Na lotnisko zrzucano też broń dla AK. Bardzo dużo było tych zrzutów, bo w kieleckiem działała dobrze zorganizowana partyzantka. Znajomi koledzy z partyzantki u nas się zaopatrywali. W majątku była gorzelnia, mieliśmy 96-procentowy spirytus. Niemcy zabierali produkcję, więc

dzieliliśmy się z partyzantami, zanim Niemcy ją zabiorą. Spirytus się sprzedawało i w ten sposób zarabialiśmy.

Kiedy Rosjanie weszli do Kotlic, zobaczyli, że jest tam gorzelnia, rozlali spirytus i bardzo szybko wszyscy byli pijani. Postaraliśmy się, żeby dostać na kwaterę sowieckiego pułkownika. On się zgodził, postawił wartę i dzięki temu przeżyliśmy. Cała wieś była grabiona, kobiety gwałcone. Następnego dnia znalazłem rosyjskiego „kamandira", który miał samochód. Zgodził się zawieźć nas do Kielc za 2 litry spirytusu i papierosy.

W czasie wojny jeździłem na tajne komplety na Uniwersytet Jagielloński, na którym studiowałem prawo. Studiował tam też wówczas sztuki teatralne przyszły papież, Karol Wojtyłła. Jeden z profesorów ciężko chory leżał w łóżku i egzaminował nas z łóżka. Dyplomu nie dostałem, przecież uczelnia była tajna. Wydano mi zaświadczenie po polsku, że zwróciłem wszystkie książki i … (w nawiasie) – zdałem wszystkie egzaminy, podpisane przez Małeckiego, który był wtedy rektorem tajnego uniwersytetu polskiego.

Po wojnie

Zaraz po wojnie Józef Ozga Michalski z mojej klasy został przewodniczącym Wojewódzkiej Rady Narodowej przy Urzędzie Wojewódzkim w Kielcach. Poszedłem wtedy do niego i mówię –

Józek, trzeba ratować skarby w polskich majątkach, bo wszystko się zniszczy. Rosjanie już strzelali do obrazów. Ja mogę się tym zająć w Urzędzie Wojewódzkim, a jeśli nie, znajdziemy jakieś miejsce. A on na to – akurat potrzebujemy Inspektora Wojewódzkiego do działu kultury i sztuki. Dał mi list polecający do majora Wiślicza, który był wtedy wojewodą kieleckim. Dzięki rekomendacji Ozgi Michalskiego, zostałem mianowany inspektorem ds. kultury. Jeździliśmy po okolicznych majątkach i zwoziliśmy wszystko, co było można. Te uratowane skarby stanowią obecnie zbiory Muzeum Narodowego, oddział w Kielcach. Zwieźliśmy między innymi księgozbiór należący do księcia Krzysztofa Radziwiłła, który mieszkał przed wojną w województwie kieleckim – ok. 60 tys. książek. Zbiory jeszcze nie zostały skatalogowane, kiedy zadzwonił szef gabinetu ministra kultury i sztuki z pytaniem, czy można by je z powrotem przekazać właścicielowi, ponieważ on pracuje naukowo, a jednocześnie jest szefem protokołu dyplomatycznego. Ja się oczywiście zgodziłem. Za tydzień zadzwonił Radziwiłł i zapytał czym się może odwdzięczyć. A ja na to – niech mi pan pomoże wyjechać za granicę do służby dyplomatycznej. Za parę tygodni, bodajże w lutym 1946, wezwano mnie do ministerstwa spraw zagranicznych i poinformowano, że jest do objęcia placówka dyplomatyczna w Bukareszcie. Potrzebny był konsul, który będzie jednocześnie prawnikiem. Ponieważ miałem wykształcenie prawnicze, zdobyte podczas wojny na tajnych kompletach na Uniwersytecie Jagiellońskim, zaproponowali mi

objęcie tej placówki. Potrzebowali ludzi wykształconych, którzy władali językami. Tolerowali Radziwiłła, który był księciem, więc dlaczego nie mieliby tolerować mnie. Zaraz po wojnie ci, którzy o tym decydowali, byli ludźmi z dawnej dyplomacji z prawdziwego zdarzenia. Oni zorientowali się, że mam kwalifikacje.



Ślub z Ireną Latacz, lipiec 1944 r.

Na placówkach

Rumunia

To była niezwykła podróż. Jechaliśmy 12 dni, w przyczepionym do pociągu specjalnym wagonie. Z Polski pojechaliśmy najpierw do Bratysławy, a stamtąd do Jugosławii. Pozrywane mosty powodowały, że nie wszystkie miejsca były przejezdne, ale nie mieliśmy innej możliwości, trzeba było jakoś przejechać. Z

Jugosławii dostaliśmy się nad brzeg Dunaju. Dunajem można się było przeprawić na drugą stronę rzeki. Tam przyjechały po nas auta. Akurat wtedy strajkowano i nie można było nic załatwić. Trzeba było zapłacić łapówkę rumuńskiemu dygnitarzowi, który zarządzał tym odcinkiem. Stamtąd już dojechaliśmy do Bukaresztu. Ambasada polska dostała do dyspozycji dawny pałac Magdy Lupescu, kochanki króla Karola, który jeszcze żył i mieszkał w południowej Ameryce. Królowa Maria też za moich czasów żyła i była królową matką, a syn Michał, po wygnaniu ojca, został królem. Po przyjeździe do Bukaresztu, musieliśmy być przedstawieni królowi. Obowiązywał bizantyński protokół dyplomatyczny. Trzeba było przejść trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Król nic. Znów trzy kroki, stanąć, ukłonić się. Wtedy król skinął głową. Potem jeden krok i król jeden krok. Wówczas ambasador mógł zacząć swoją mowę. Trenowali nas, jak to robić. Stałem obok ambasadora jako drugi do przedstawienia królowi. Ambasador przedstawił mnie po francusku, a król się zapytał – jak długo jest pan w moim kraju? – Przyjechałem cztery miesiące temu, ale już mówię pańskim językiem – odpowiedziałem. I zacząłem mówić po rumuńsku. Król bardzo się zdziwił, ale był zachwycony. Wywiązała się dłuższa rozmowa już po rumuńsku, protokół dyplomatyczny się załamał. – Musi pan wkrótce przyjechać do mojego pałacu – powiedział król. I zaprosił mnie do siebie. Język rumuński jest szalenie ciekawą mieszaniną różnych języków, ma rdzeń łaciński, dużo francuskich słów i ok. 20 procent słów pochodzenia

słowiańskiego. Ja miałem w szkole niemiecki przez 6 lat, łacinę przez 8 lat, angielski 4 lata. A oprócz tego znałem trochę rosyjski, gdyż mój ojciec, który skończył rosyjskie gimnazjum zawsze liczył po rosyjsku, było mu łatwiej niż po polsku. Miałem wtedy fantastyczną pamięć, więc mogłem się w parę miesięcy nauczyć języka. Po czterech miesiącach pobytu w Rumunii, prowadziłem wykłady w radio Bukareszt po rumuńsku na temat polskiej kultury.

Król Michał dowiedział się, że mam do dyspozycji awionetkę RWD 13, bo odebraliśmy od Rumunów, polskie samoloty, które w 1939 roku uciekając z Polski, wylądowały w Rumunii. Jeden z tych samolotów zatrzymaliśmy dla ambasady. Oblatywałem nim wszystkie polskie ośrodki. Miałem pilota, pana Krawczyka, który był instruktorem króla i uczył go latać. Wobec tego, mój samolocik miał prawo stać na królewskim lotnisku, co było niezwykłym zaszczytem. Podczas mojego pobytu w Bukareszcie, do Rumunii przyjechali Rosjanie, żeby zmusić króla Michała do rezygnacji. Ale on powiedział – możecie mnie wysiedlić z kraju, ale ja nie zrezygnuję, zawsze będę królem. Nie złożył rezygnacji i nadal ma swoje biuro w Szwajcarii. Korespondujemy ze sobą do tej pory. Zawsze się podpisuje Rex. Król zwykle dyplomatom odwołanym z placówki dawał jakieś wino ze swoich królewskich piwnic. Gdy został oficjalnie powiadomiony, że będę odwołany i wyjeżdżam z Rumunii (było to w ostatnim czasie, kiedy był jeszcze królem), przysłał mi 2 litry swojego wina z piwnicy

królewskiej wraz z pozdrowieniami. Bardzo sobie ceniłem ten gest. Potem ja mu się zrewanżowałem. Szereg lat później, gdy zostałem Wielkim Mistrzem Orderu Świętego Jana Jerozolimskiego, mianowałem go Royal Protector.

Pomiędzy placówkami

W Rumunii byliśmy prawie dwa lata. Niedługo potem wyjechaliśmy do Polski, gdyż zostałem formalnie przeniesiony na inną placówkę, ale jeszcze nie było zdecydowane na jaką. Przez krótki czas miałem być radcą w Ministerstwie Spraw Zagranicznych w Warszawie. W Polsce, żona została u moich rodziców w Kielcach, a ja dojeżdżałem do Warszawy. Proponowano mi wyjazd na placówkę konsularną w Goeteborgu w Szwecji. Pewnego dnia zostałem poproszony do dyrektora departamentu personalnego, żeby definitywnie omówić te sprawy. Kiedy przyjechałem do Ministerstwa, w poczekalni siedział kolega z MSZ-tu, który, jak się okazało, mówił po szwedzku. Ja szwedzkiego nie znałem. – Dokąd Pan jedzie? – zapytałem. – Wysyłają mnie do Baden–Baden, choć ja nie mówię po niemiecku – odpowiedział kolega. A ja na to – a mnie wysyłają do Szwecji, choć nie mówię po szwedzku. Może się zamienimy? Pan pojedzie do Szwecji, a ja do Baden-Baden, bo ja mówię swobodnie po niemiecku. Mówię też po francusku, a tam jest francuska strefa okupacyjna. Do dyrektora departamentu, weszliśmy więc obydwaj, cała sprawa została załatwiona i w ten

sposób dostaliśmy nominacje. Akredytacja przy francuskiej strefie okupacyjnej w Niemczech, to dość długa formalność, która musiała przejść przez różne szczeble we Francji. Powiedziano mi więc, że mogę wyjechać najpierw do Berlina, żeby się zapoznać z problemami niemieckimi, będąc jednocześnie przydzielonym do konsulatu generalnego. To mi bardzo odpowiadało, ze względu na moją wojenną przeszłość. Chciałem mieć satysfakcję. Niemcy, u których wynajmowałem pokój, zupełnie nie wiedzieli jak się zachowam w stosunku do nich. A to, że byłem normalnym człowiekiem, z którym można o wszystkim porozmawiać, bardzo ich zdziwiło. Pobyt w Berlinie był ciekawy. Konsulat znajdował się w sowieckiej strefie okupacji, a ja mieszkałem w strefie francuskiej. W tym czasie moja żona była w ciąży. Zostawiłem ją w Kielcach, żeby dziecko urodziło się w Polsce. Żona powiedziała, że nie chce, żeby urodził się Cygan w Rumunii, albo Niemiec w Niemczech. Dziecko musi urodzić się w Polsce. Mój syn miał przyjść na świat ok. 24 marca 1948 roku. Ja wobec tego, 21 marca wyjechałem samochodem z Berlina przez Poznań do Kielc. Ale musiałem się zatrzymać w Poznaniu na noc. Gdy przyjechałem do domu, okazało się, że już jestem ojcem. Zbliżały się wtedy święta, moja żona coś robiła w domu i to przyspieszyło poród. Bardzo mnie dotknęło, że się spóźniłem. Ale żona twierdziła, że przyjechałem akurat.

Posiedziałem jakiś tydzień w Kielcach z rodziną i

zdecydowaliśmy, że jak dziecko będzie miało ok. trzy miesiące, to przyjadę po nich i zabiorę do Baden-Baden. Po tygodniu wróciłem do Niemiec. Konsulat remontowali, mieszkałem więc w Rastaedt pod Baden-Baden. Po trzech miesiącach przywiozłem żonę z dzieckiem.

Baden-Baden

Pobyt w Baden-Baden był bardzo ciekawy. Francuzi traktowali tę strefę jak swoją własność. Pierwszym językiem dla dyplomatów był język francuski, niemieckiego używano jako drugiego.

Baden-Baden to słynne uzdrowisko. Dostaliśmy bardzo ładną willę, w której mieszkał kiedyś Turgieniew, do prywatnego użytku. Dom był pięknie położony, na szczycie góry. Na tej placówce spotkałem wielu bardzo ciekawych ludzi, np. margrabiego von Baden, kuzyna księcia małżonka królowej angielskiej. Poznałem też miejsca, gdzie się rozgrywała historia. Generałowie, którzy organizowali przewrót przeciwko Hitlerowi, pochodzili z Badeni i ich rodziny tam żyły.



Jerzy Krzeczowski z synem Andrzejem, Baden-Baden, 1949 r.

Niedaleko Baden-Baden, w górach znajdowały się piękne tereny narciarskie. Tylko pół godziny drogi samochodem do wysokich gór, więc mogliśmy jeździć na nartach.

W Baden-Baden było bardzo dużo konsulatów, ok. 60-ciu. Francuzi dali nam prawa, które normalnie konsulom nie przysługują. Np. Konsulowie na samochodzie mają zwykle tabliczkę CC, Consul Consular, a my mieliśmy CD, Corpus Dyplomatic. Najbardziej bałem się Rosjan, bo przecież Rosjanie też mieli tam swoją placówkę. Więc nie bardzo utrzymywałem stosunki dyplomatyczne z Rosjanami, tyle co oficjalnie wypadało.

Raz pojechałem do Polski na wakacje, a kiedy wracałem, na

lotnisku czekał na mnie cały konsulat. Wszyscy. Zastanawiałem się, co się mogło stać. – Pański zastępca uciekł – powiedzieli. Był majorem wojska polskiego, szefem misji wojskowej i jednocześnie wicekonsulem. Przyjechałem do biura i dowiaduję się – wyjechał, zabrał wszystko ze sobą i zniknął. Za trzy dni dostaję list z pieczątką z Zurychu. List jest prywatny do mnie. Mój wicekonsul pisze – niech pan przyjedzie do Zurychu, czekam na pana. Na drugi dzień zdecydowałem się przyjechać. Melduje się w hotelu, pytam o niego, a oni mówią – niestety, dziś rano wyjechał. Amerykanie go zabrali. Prawdopodobnie chciał się ze mną skontaktować i namówić mnie na ten sam krok.

Starałem się mieć jak najlepsze stosunki z różnymi dyplomatami, między innymi z Francuzami, z Włochami, ze Szwedami. To był bardzo ciekawy okres. Mieliśmy mniej więcej 200 przyjęć rocznie, na które trzeba było pójść, a potem się rewanżować. Pamiętam raz zrobiliśmy przyjęcie u nas w domu na 150 osób. Żona miała masę roboty, ale bardzo się wszystko podobało. Innym razem byliśmy zaproszeni z żoną do konsula generalnego Francji. Siedziałem niedaleko jego żony, a moja żona siedziała koło konsula. Francuzi lubili się trochę przekomarzać. Akurat poprzedniego dnia podano do wiadomości, że Konstanty Rokossowski został marszałkiem Polski. Więc zwrócili się do mnie z pytaniem – jak Pan, jako polski patriota reaguje na to, że Rosjanin został marszałkiem Polski? A ja na to – to rzeczywiście niezwykła nominacja, ale muszę państwu powiedzieć, że

pierwszym cudzoziemskim marszałkiem Polski był Francuz, marszałek Foch. To ich zaskoczyło i odpowiedzieli – bardzo dyplomatyczna odpowiedź. I już mnie nie męczyli.

Z Francuzami miałem bardzo dobre stosunki. Doskonale wiedzieli, co i gdzie się dzieje, we wszystkim się orientowali. Uważałem, że skoro Rokossowski został marszałkiem, to najwyższy czas się wycofać. Zacząłem myśleć, czy bym nie mógł wywieźć z Polski moich rodziców. Okazało się to jednak niemożliwe, bo w żaden sposób nie można było wydostać ich na paszport konsularny. Niedowierzali nikomu. Tylko moja siostra przyjechała do nas z wizytą na parę tygodni, ale rodzice już nie.

Jednego dnia, późną jesienią 50 roku, do Baden-Baden przyjechała grupa „mołojców", polskich kurierów dyplomatycznych, którzy właściwie byli rosyjskimi agentami. Niektórzy nawet mówili po rosyjsku, a nie po polsku. Przyszli do naszego domu, żeby mnie odwiedzić. Ja akurat byłem chory, miałem ciężką grypę. Leżałem w pokoju na górze, z wysoką gorączką. I to mnie uratowało. Żona do nich powiedziała – niestety, mąż jest bardzo chory. Ale oni nie dowierzali – czy możemy go odwiedzić? – Proszę bardzo. Chcieli się przekonać. Dopiero gdy zobaczyli, że naprawdę jestem obłożnie chory i nic nie wiem, co się dzieje na świecie, dali za wygraną. Pojechali gdzie indziej i tamtego kolegę zabrali do Polski. Przewidywali, że

gdy się go formalnie odwoła, może nie wrócić. Chcieli więc uprzedzić jego decyzję, dlatego go porwali. Dali mu zastrzyk usypiający i tak przewieźli przez granicę. Szereg dyplomatów w ten sposób wróciło.

Gdy doszedłem do siebie, poszliśmy z żoną na lody i powiedzieliśmy sobie, że trzeba się szybko zwijać. Ale jeszcze chciałem poradzić się mojego ojca. Nie zawiadamiałem urzędu, tylko pojechałem Orient Expresem do Polski. Zatrzymałem się w Kielcach, spotkałem się z ojcem, rozmawialiśmy. Ojciec mówi – synu ratuj się. Tu nie masz po co wracać, ratuj się. Zostawiłem ojcu i mamie trochę pieniędzy, pożegnałem się z nimi i to było wszystko. Rano pojechałem do Warszawy, wszedłem do Ministerstwa, udałem się do kolegi, który był jednym z dyrektorów departamentu, i któremu mogłem ufać. Poszedłem do niego, a on mówi – coś ty zrobił, już na ciebie czekają, granica polsko-niemiecka została zawiadomiona, że jak będziesz wracał, mają cię zatrzymać. Ja cię muszę uratować, dam list kurierski z ważnymi papierami i pojedziesz do Czechosłowacji, a stamtąd do Niemiec. Wsiadłem więc w Orient Expres, który jechał do Baden-Baden przez Pragę. I tak wróciłem do domu.

Kiedy przyszedłem na drugi dzień do biura, zaraz po 10 rano wchodzi sekretarka i mówi – Panie konsulu tu jest pułkownik amerykański, który chce Pana zobaczyć. – Proszę bardzo – mówię. Pułkownik wszedł, przedstawił się i mówi – przyszedłem,

żeby się upewnić, czy został pan ostrzeżony w Warszawie. A ja na to – tak zostałem ostrzeżony. – My prosiliśmy naszego człowieka, żeby pana ostrzegł.

Po decyzji o wyjeździe Francuzi zaczęli mi składać różne oferty. Marszałek Francji Guillaume, który został Resident General de Maroc, zaproponował mi placówkę – pracę w administracji w jego biurze w Maroku. Ale moja żona się sprzeciwiła. – Nie – mówi, to za daleko od Europy, za daleko od świata, lepiej nie. I przekonała mnie. Zdecydowaliśmy się więc poczekać na coś innego.

Wezwałem swojego przysłanego z Polski wicekonsula, który należał do partii komunistycznej. Ponieważ ja nie należałem, więc musiał mnie pilnować. Zwracam się więc do niego – panie P., zdecydowałem zrezygnować ze stanowiska i wszystko panu przekazuję, tu jest kasa, tu są pieczęcie, paszporty, blankiety, tu jest wszystko, pan to przejmie i zawiadomi jutro Warszawę i niech zrobią, co chcą. A on na to w płacz. – Panie konsulu – mówi – jak pan może mi to zrobić, przecież pan mnie musi zabrać, ja nie jestem komunistą, jestem tylko tu wysłany jako komunista, ale ja pana podziwiam i chcę wyjechać razem z panem za granicę, ja nie chcę zostać i wracać do Polski. Ja nie mam z nimi nic wspólnego. Wzięli mnie do wojska, boso chodziłem, bo nie było butów, nabawiłem się choroby płuc. Chciałem wyjechać za granicę, żeby być od tego jak najdalej. – Ja na to – panie drogi, ja

panu wszystko przekażę, pan oficjalnie zawiadomi Warszawę, a ja będę czuwał, załatwię wizę przez moich Francuzów czy Amerykanów i pana stąd zabiorę. – Czy ja mogę na to liczyć? – Absolutnie. Zacząłem więc zabiegać o wizę do Kanady dla niego. Bo ja już miałem załatwioną, przez Lestera Pearsona, ówczesnego Ministra Spraw Zagranicznych, a późniejszego premiera Kanady. Ambasador na początku nie chciał się zgodzić, ze względu na chorobę płuc mojego zastępcy – przecież my takich nie bierzemy. Ja na to – zróbcie wyjątek, człowiek nie może wrócić do Polski, nie jest komunistą i trzeba go uratować. Weźcie go do Kanady, jak przyjedzie, to dacie go do leczenia i się wyleczy. I w końcu dostałem tę wizę dla niego. Parę miesięcy pobytu w Kanadzie i go wyleczyli. Ten człowiek był tak szczęśliwy. On, jego żona i dziecko. Do końca życia był mi wdzięczny.

Gdy trzeba było zlikwidować nasze eleganckie mieszkanie w Baden-Baden, Francuzi dali nam do dyspozycji małą willę na skraju miasta pod lasem. Powiedzieli – pan tam będzie mieszkał, naokoło jest nasz posterunek, będziemy pilnować domu. Jest pan w bezpiecznym miejscu. Stamtąd przewieziemy pana do portu, z którego pan odjedzie. Mamy pana pod opieką, niech się pan nie boi. I rzeczywiście żandarmeria francuska cały czas nas pilnowała. W Baden-Baden była z nami nasza wierna służąca, Ania Muzyczka. Jej mąż zamordował Niemca, który go prześladował w obozie i dostał w Niemczech wyrok

dożywotniego więzienia. Nie można go było stamtąd wydobyć. Ania więc do nas mówi – ja z państwem do Ameryki jadę. Ania dostała wizę do Ameryki jako uchodźca. A my pojechaliśmy do Kanady. Ania była z nami w kontakcie, taka wierna służąca, jak rodzina. Kochała tego naszego chłopaka i ciągle się z nim bawiła.

Nasz syn miał wychowawczynię, Niemkę, która była siostrą katolickiego arcybiskupa. Nazywała się Frau Kohlmayer. Niemka ta była bardzo nam oddana i nauczyła Andrzeja mówić po niemiecku, co oczywiście denerwowało moją żonę. A Andrzej był dwujęzyczny, oba języki szybko opanował i nie miał z tym żadnych trudności.

Miałem też bardzo oddanego szofera, Niemca Norberta, który dawniej był osobistym szoferem Feldmarszałka Scheinhorsta. Pochodził z rodziny niemieckich socjalistów, którzy nienawidzili Hitlera. Jego ojciec był więziony. On mi był mi tak wierny, jak tylko Niemiec może być wierny swojemu przełożonemu. W czasie naszego pobytu zdecydował się ożenić i prosił mnie, żebym był na jego ślubie i weselu. On był naszym kontaktem z zewnętrznym światem, gdy oczekiwaliśmy na wyjazd do Kanady. Mogłem mu ufać.

Gdy przyszedł dzień wyjazdu, pojechaliśmy do Bremen, który jest dużym portem. Miał nas odwieść szwedzki statek, Anna Salem. Statek ten zapełniony był do ostatniego miejsca emigrantami,

jadącymi do Kanady. Płynął do Halifaxu. Odpłynęliśmy w pięknej pogodzie, mijaliśmy Danię, widzieliśmy z daleka Kopenhagę i wypłynęliśmy na pełne morze. Za parę dni zaczęła się burza. Mieliśmy płynąć osiem dni, a płynęliśmy dwanaście dni. Burza była tak straszna, że statek się nie posuwał, był rzucany w tę i z powrotem. Nie wiedzieliśmy, czy wyjdziemy z tego żywi, bo to był stosunkowo mały statek. Wszyscy ludzie chorowali na żołądek, lub wymiotowali, nikt nie mógł znieść tego kołysania. I tak nam zeszła podróż.

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Jerzego Korey-Krzeczowskiego.

Część 2:

> „Polacy nie gęsi i swój język mają” – Jerzy Korey-Krzeczowski (2)

*

***Jerzy Korey-Krzeczowski**, ekonomista, dyplomata, publicysta, poeta. Urodzony 13 lipca 1921 roku w Kielcach, w okresie II wojny świat. żołnierz Organizacji Bojowej Tajnej Armii Polskiej oraz Związku Walki Zbrojnej/Armii Krajowej. Studia prawnicze*

na UJ w Krakowie (1940-44), doktorat na Uniwersytecie we Freiburgu (1948-49), doktorat na Uniwersytecie w Tybindze (1950), studia podyplomowe na Uniwersytecie Harwarda (1975). Naczelnik Wojewódzkiego Wydziału Kultury i Sztuki w Kielcach (1945-46), attache kulturalny Ambasady Polskiej i konsul w Bukareszcie (1946-47), konsul w Berlinie 1948, w Baden-Baden (1948-51). Od 1951 roku w Kanadzie. Zmarł w Toronto w 2007 r.